

Leszek Możdżer

fot. Kasia Stańczyk

Billy Cobham

# MAESTRO NINJA

**N**a początku w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Regulował nachylenie bębnow, stroił membrany, wieszał czynele. Nie istnieliśmy dla niego. Odebrał nawet wideo-telefon. Po paru słowach pomachał jednak ręką i powiedział „I got to go, I am working”. Czekaliśmy grzecznie, aż skończy. Wreszcie zza bębnow dobiegło dźwięczne „Okay, I am ready!”.

Billy Cobham był gotów. My też. O, jakże my byliśmy gotowi! Chcieliśmy udowodnić mu, że nie przyleciał na darmo, że co jak co, ale akurat c-moll nie ma przed nami żadnych tajemnic. Mamy wzmacniacze, mamy pedal-boardy i keyboardy, mamy umiejętności, mamy pomysły i w ogóle mamy coś do powiedzenia. Powietrze drżało od niewypowiedzianego „teraz my”. Billy niezgrabnie wygrzebał się zza bębnow i zapytał każdego z nas o imię. Przedstawiliśmy się, a jakże, my przecież mamy imiona, ba! Nazwiska nawet mamy! Jakby co to tak: Wą-do-łowski, Mi-ze-rac-ki, Gó-rec-ki, no i rzecz jasna Moż-dżer. Czy jakoś tak. Aha. Chyba i tak nie zapamiętam – powiedział Billy i usiadł na swoim wysokim, perkusyjnym stołku. „Co gramy?”

Zaproponowałem AC/DC, pomyślałem, że będzie dobry na rozgrzewkę. W sumie nie trudnego: c-moll i chromatyczne pararara w refrenie. Okay, jedziemy.

Już w drugim taktcie czwarta kwarta odrobinę mi się przesunęła. W sumie niewielka usterka, ale jednak. Cholera, usłyszał to. Widziałem to po grymasie jego twarzy. Kiedy za chwilę basista troszkę obsunął jeden akcent – też się skrzywił. Czyli słyszy wszystko. O dziwo grał cichutko i był bardzo skupiony. Już wiedziałem, że słyszy wszystko. Po chwili jeden z gitarzystów podjął solo. Solo życia, można by powiedzieć. Grał jak zwykle – dźwięcznie, zgrabnie, technicznie bez zarzutu. Ale w powietrzu unosiła się dziwna sztywność. Nienazwana, niewidoczna. Po chwili Billy spojrzał na mnie, wiedziałem, że to znak, żeby wejść na refren. Zrobił naprowadzającą podbitkę. Jednak gitarzysta miał zamknięte oczy i ciało przebieg kwartowy wzbogacony od czasu do czasu imponującym efektem ze swojego pedal boarda. Nie podjąłem więc refrenu tylko czekałem na rozwój sytuacji. Billy przerwał grę. – Zaraz, zaraz, czegoś tu nie rozumiem! Co tu jest grane?!

Jeszcze raz! Nabił tempo. Znowu c-moll. Znowu przerwał. „Co Ty robisz człowieku?” – zapytał gitarzystę. „Gram solo.” „Słuchajcie, czy możemy grać razem? Ra-zem?!”

„Nie graj teraz solówki, graj same funty! Wygląda na to, że nie wiecie co robicie!” Byliśmy całkiem skonfundowani. Nabił tempo. Wchodzimy w c-moll. Znowu przerwał grę. „O co tutaj chodzi?!”

„My... My jesteśmy strasznie przejęci, że z Tobą gramy i dlatego tak trochę tego i w ogóle” – próbowałem jakoś rozluźnić atmosferę. „To się do cholery ogarnijcie, bo mamy robotę do zrobienia!” Ponownie nabił tempo. Teoretycznie nic się nie zmieniło. Basista grał to samo, ja grałem to samo, gitarzyści też. Ale staliśmy się uważni, brzmienie stało się delikatniejsze. Nie graliśmy na pokaz. Graliśmy, żeby w ogóle zrozumieć co się dzieje. Byliśmy totalnie skupieni, a każdy dźwięk miał znaczenie.

Wiedziałem, co się stało. Stary, duchowy mistrz wyrwał nam z ręki wszystkie narzędzia. Odarł nas z techniki i z kunsztów sztuk walki. Zdarł z nas zabezpieczenia, zdeptał oczekiwania, unicestwił nadzieje, zaprzepścił życiowe szanse. Odebrał nam złudzenia. Zignorował kurtuazję. Staliśmy się kompletnie nadzy i nie wiedzieliśmy, co się za chwile stanie. Została sama Muzyka.

Billy Cobham przerwał i uśmiechnął się. „No. Dopiero teraz gramy” – powiedział. I spokojnie nabił tempo.